NOWINY TYGODNIA

Sobota 1. IX. 1956 r. Nr 32 (328)

DODATEK SPOŁECZNO — KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

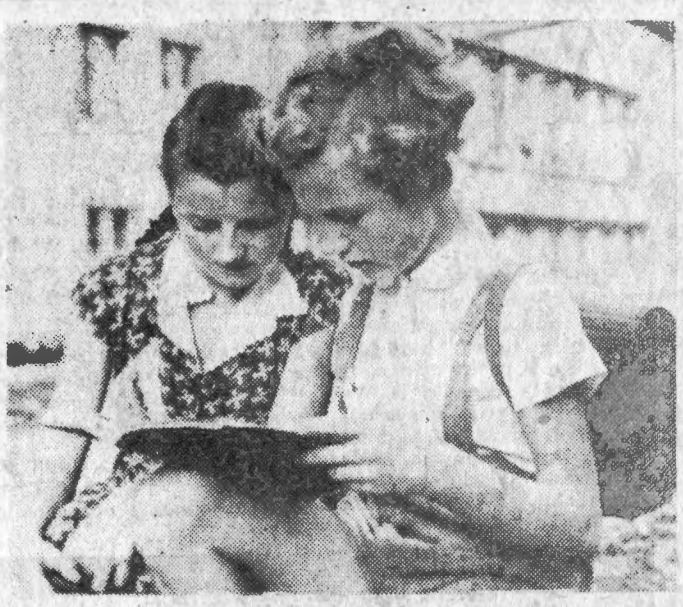

Ileż ciekawych rzeczy zawiera nowy podręcznik!
Foto — Wł. Popiękowski

Na tropach sztuki współczesnej

ZWARIUJESZ JAK VAN GOGH

„Nie się, koledzy, nie przejmujcie, ja też miałem epilepsję. Teodor Dostojewski". Ktoś bardzo złośliwy i, trzeba przyznać, inteligentny, wpisał tę uwagę w „Złotej Księdze" wystawy malarstwa Grupy 55 w staromiejskim domu kultury w Warszawie. Ta uwaga dosyć celnie charakteryzuje atmosferę o posmaku skandalu panującą wokół ostatnich wystaw młodych plastyków — wymienionej wystawy Bogusza, Dłubaka, Sosnowskiego i dwóch wystaw

HILARY KRZYSZTOFIAK
autoportret

w salonie dyskusyjnym „Po prostu": zbiorowej wystawy Celnikiera, Fangora, Gleba, Jonszer, Mellerowicz, Panasa, Rudowskiej, Sienickiego, Wdowickiego i in. oraz indywidualnej wystawy Hilarego Krzysztofiaka. Zresztą wiele innych miast ma „swoich własnych" plastyków, którzy niejednego szokują nie gorzej od warszawskich i tak samo zbierają dosadne epitety i niewybredne insynuacje.

Jednakże autor uwagi, którą przytoczyłam na wstępie nie zdeawuował tak dalece malarzy, jakby tego pragnął. Skojarzenie ich z Dostojewskim nie byłoby całkowicie pozbawione podstaw. Ale bynajmniej nie ze względu na domniemaną dolegliwość, lecz ze względu na stosunek do świata, do ludzi i sztuki.

Bo istotnie, problem tych wystaw, problem sztuki dużej części młodych szczególnie artystów — jest przede wszystkim problemem etycznym. Formy tej sztuki budzą często gwałtowny sprzeciw, bywają rzeczywiście niezrozumiałe, odpychające. Ale nie malują ich bynajmniej epileptycy. Malują je — moraliści.

Moralny wyraz tej sztuki, to protest przeciwko ignorancji i hipokryzji, przeciw nieświadomemu i świadomemu zakłamaniu, które spowodowały kryzys w naszej sztuce. Źle ją zresztą określiłam, bo to nie była nasza, socjalistyczna sztuka, podobnie jak nie były nasze — policyjne kryteria sztuki. Nie nasze, to już nawet nie znaczy niesocjalistyczne, ale w ogóle — niehumanistyczne, ponieważ przeciwstawiły przebogatej, nieustannie wzrastającej skali przeżyć intelektualnych i emocjonalnych człowieka — schemat. Dobra wola i dobra wiara otoczyły ten schemat aureolą ideału, ale ostre, dzienne światło i temu próchnu odebrało blask.

Dwa razy w ciągu dziesięciu lat młodzi artyści przeżyli generalną kompromitację kryteriów sztuki współczesnej, raz kryteriów estetyki formalistycznej i kosmopolitycznej, drugi raz — kryteriów estetyki rzekomo realistycznej i socjalistycznej. Doprowadziły ją one do innego rodzaju kosmopolitycznego formalizmu — do akademizmu. I kiedy kolejne wystawy konfrontowały plastykę radziecką, polską, węgierską, rumuńską, czechosłowacką, okazało się, że nowa droga do sztuki narodowej jest ślepym zaułkiem.

W liście otwartym do malarzy radzieckich malarz-komunista meksykański, David Alfaro Siqueiros, pisze: „Między formalistą argentyńskim i japońskim nie ma najmniejszej różnicy, podobnie jak nie ma żadnej absolutnie różnicy między akademistą węgierskim i gwatemalskim. Jedni i drudzy tworzą hybrydy, gdyż jedni i drudzy przyjmują z góry ustalony styl, wobec czego styl, forma nie jest u nich konsekwencją, wynikiem ich celu". Forma i tu stała się celem. Forma akademicka zagroziła treści w sztuce, właśnie treści socjalistycznej.

Rozumiem tę sytuację, kiedy młody artysta pyta: „Czy rozumie szanowny pan, co to znaczy, kiedy nie ma już dokąd pójść?" Pyta jak Marmeladow Dostojewskiego... Odrzuca sztukę dziesięciolecia. Chce sięgnąć do zmitologizowanych wzorów sztuki francuskiej sprzed półwiecza. Odrzuca je. Jedna z największych rewelacji życia plastycznego ostatnich miesięcy był fakt, że wystawa malarstwa francuskiego „Od Davida do Cezanne'a" zdecydowanie nie podobała się młodzieży artystycznej, która ujrzała tę sztukę pierwszy raz w życiu. Tak ją ukrywano latami, tak skrzętnie były pochowane okazy sztuki „gnijącego kapitalizmu". A tymczasem nikt nie ma ochoty jej naśladować. Bo po prostu ta sztuka należy już do historii i bynajmniej nie jest współczesna.

A zatem gdzie jest sztuka współczesna? Dokąd pójść? Tego młode polskie malarstwo jeszcze nie wie. Nie ma bodaj ani jednego pozytywnego osiągnięcia. Ale i nie ma rezygnacji. Na tych dziwnych obrazach młodzi malarze „myślą barwami", eksperymentują, stawiają najrozmaitsze hipotezy i szukają rozwiązania, którego im nie może dać teoria i krytyka sztuki. To malarstwo jest wciąż jeszcze raczej intelektualne, niż emocjonalne i właśnie dlatego najczęściej — powiedziałabym nawet z reguły — nie wzruszą, nie daje pełni przeżyć estetycznych, nie podoba się.

Ba, niektóre utwory nie podobają się samym twórcom. widać wyraźnie jak nawarstwiały się na płótnie sprzeczne tendencje, sprzeczne formy, niezamierzone dysonanse jak obrazy powstawały w jakiejś wewnętrznej, nerwowej, może czasem i histerycznej dyskusji. Są w nich kreski i plamy, które stanowią jedynie argumenty rozumowe. I potwierdzają tylko prawdę starego Delacroix: „Obraz jest jak piękny wiersz; cały rozum świata nie sprawi, by wiersz był dobry, jeśli razi ucho"...

Niedawno byli u mnie znajomi z NRD. Ponieważ chciel. obejrzeć wszystko, co najciekawsze w Warszawie — zaprowadziłam ich między innymi na wystawy młodych plastyków. Z początku bardzo głośno się śmieli, widziałam, jak wielką przykrość sprawili swoim zachowaniem plastykom i studentom Akademii obecnym w salach wystawowych. Potem poszliśmy na wystawę malarstwa, grafiki i rzeźby NRD, która właśnie gości w Pałacu Kultury. I dopiero tu postawa moich niemieckich przyjaciół uległa radykalnej zmianie. Anachronizm naturalistycznego malarstwa rzucił im się w oczy z całą jaskrawością. Tutaj — dokładnie wiedzieli, co przedstawia każdy z obrazów, ale ta zrozumiała treść była im obojętna. Wrócili myślami do tamtej sztuki — niezrozumiałej. Teraz zrozumieli w niej przynajmniej jedno: że młoda polska sztuka szuka odbicia nowych, niespokojnych, zawikłanych czasów. I powiedzieli: Choćby za to należy się jej szacunek.

A więc podzielili mój sąd. Trudne, istotnie, są drogi do sztuki współczesnej, kręte, mylne, często — ślepe, z których zawróci każdy, komu jest drogie życie twórcze. Od artysty wymagają pasji i uporu. Od krytyka i widza — wyrozumiałości. Zaś od wszystkich sztuka zawsze wymaga — serca. Nie miał racji ten, kto się zwrócił do młodego malarza: „Uważaj, bo zwariujesz jak Van Gogh". Natomiast miał rację ten, kto odpowiedział: „Niczego się nie bój, los Van Gogha, to piękny los". Bo warto wam dodać otuchy i odwagi, młodzi malarze.

Barbara Olszewska

W numerze:

*A CZERMIŃSKI — Ajanta i Amrita * S. D. — Potomnym ku przestrodze... czyli jak nie należy budować * KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA — Bajka o wygnanej kulturze * D. TRYL — Powrót starego przyjaciela * K. S. — Film o zabawnej szajce * KORESPONDENCJE * NIE TRUDNO ZGADNĄĆ.*

PIĘKNO ZIEMI RZESZOWSKIEJ

Rzeka Ropa we wsi Ropa w powiecie gorlickim

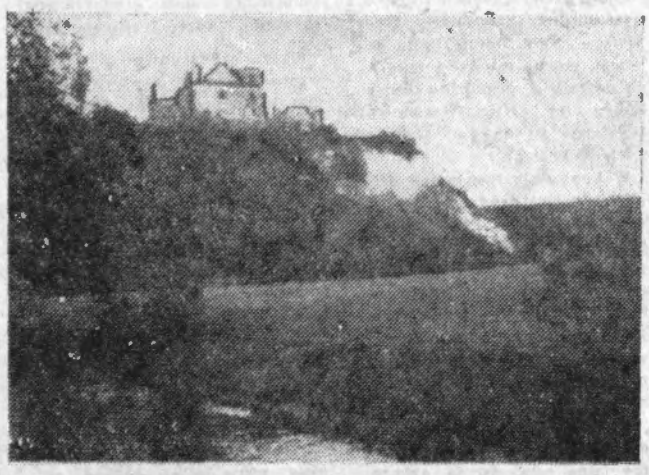

Zagórz: Legendarny „Grób Nieczui".
Foto — W. Piątkowski

K. I. GAŁCZYŃSKI

Wiersz o wesołym dniu Józia Powoniaka

Mały Józio Powoniak
rękręcznie, lato w lato,
chodzi smutny jak nocturn.

Może mu się co stało?
może to od upału?
Nie wiem, nie jestem doktór.

Mały Józio Powoniak
(zgaki: oczy jak wiśnie,
a brwi jak czarne wsłony)

co lato jakiś kram ma:
lato świeci jak lampa,
a on chodzi zgaszony.

Spotykam go przy windzie,
mówię: „Co ci źle idzie,
bo się smucisz dnie cały?"

A on: „Jesień... daleko...
sobota... i... i tego..."
I nic nie zrozumiałam.

Ciekawe — myślę sobie —
Co też siedzi w tej głowie,
co to tak dręczy bąka..."

Przychodzę, pytam, badam,
a on ręce rozkłada,
a ch nic, tylko bąka:

a ch wziąć, drodzy moi,
przy swoich książkach stoi
i wzdycha całe ranki,

taki mały kogucik,
nawet cklem nie rzuci
na swój skarb, na organki.

Minął czas niezbyt długi,
złote lata wskazówki
przesunęły się dalej.

Józio z ojcem wyjechał.
Ja także wyjechałem
Wszyscy się rozjechali.

Józio czas spędził dobrze:
pływał na wznak w jeziorze,
już osiem lat ma przeszło;

łapał ryby na wędkę
ale ciągle miał chętkę,
by prędzej lato przeszło.

I przeszło jak z komina
dym. Na jeziorze, trzcina
zaczęła lekko pliwieć;

jabłko poczerwieniało;
słowem, wszystko się stało,
jak chłopak życzył sobie.

Przedwczoraj wracam z miasta,
patrzę, idzie ten krasnal
pod pachą z jakimś fletem,

ogromny atlas w dłoniach —
czy to Józio Powoniak?
czy to ten czy to nie ten?

Mina taka wesoła,
idzie, coś do mnie woła,
słońce bije mu z czoła,
jedno? nie! tysiąc sto!

„Józiu, skąd ta przemiana?"
A Józio: „Proszę pana,
wie pan co:
DZISIAJ — ZACZĘŁA
SIĘ SZKOŁA".

AJANTA i AMRITA

(Wystawa sztuki hinduskiej w Warszawie)

— Dwadzieścia wieków patrzy na nas z tych malowideł i rzeźb! — tak oto można by sparafrazować sławne powiedzenie Napoleona, patrząc na eksponaty sztuki hinduskiej, sięgające II wieku p. n. e.

Goszcząca obecnie w Warszawie wystawa klasycznej i współczesnej sztuki hinduskiej, zorganizowana przez hinduską Narodową Akademię Sztuk (The Lalit Kala Academy w New Delhi), przybyła do Polski na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

Nie jest to pierwsza wystawa sztuki hinduskiej, jaką mamy możność oglądać. Przed kilku laty podziwialiśmy również stare arcydzieła sztuki hinduskiej oraz malarstwo współczesne tego kraju; obecna wystawa natomiast jest pierwszą, jaką rząd Indii wysłał zagranicę po utworzeniu w 1954 r. Narodowej Akademii Sztuk.

Celem wystawy jest — jak poinformował jeden z jej organizatorów Bhabesh Sanyal — ukazanie przekroju sztuki hinduskiej na przestrzeni dwóch tysięcy lat: od malowideł z pieczar Ajanty aż po malarstwo współczesne oraz zaznajomienie zwiedzających z historycznym przebiegiem rozwoju kultury plastycznej w Indiach. Trudności transportowe ograniczyły wprawdzie ilość eksponatów, ale za to dobrano je w taki sposób, że patrząc na nie można uchwycić najgłówniejsze linie rozwoju i załamań sztuki hinduskiej, od epoki Guptów (II wiek p. n. e.) aż po czasy współczesne.

Wystawa sztuki hinduskiej przybyła do nas na trzy tygodnie. Poprzednio gościła w Moskwie i Leningradzie oraz w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii. W Polsce kończy się objazd trwający już około dziewięciu miesięcy.

Katalog wystawy zawiera krótki zarys sztuki hinduskiej o której szerzej poinformowali przedstawiciele stołecznej prasy panowie B. Sanyal i H. A. Gade.

Plastyczna sztuka Indii sięga wprawdzie 5.000 lat wstecz, jednakże pokazane na wystawie eksponaty obejmują tylko trzy najważniejsze dla rozwoju sztuki hinduskiej okresy: okres klasycznej rzeźby i malarstwa, okres budzącej się do nowego życia sztuki w XIX w. i okres malarstwa współczesnego.

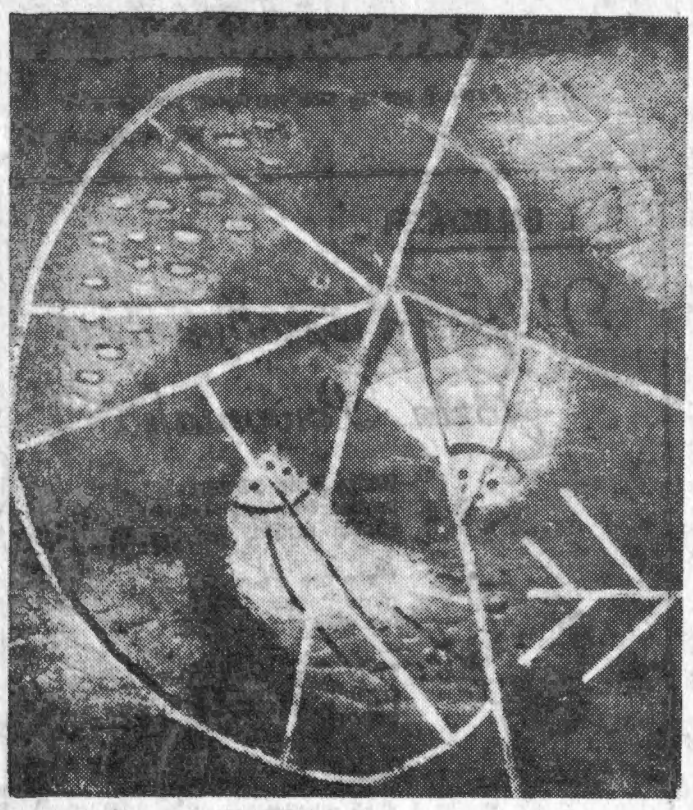

„Krajobraz zimowy" pędzla Rankinkera

Klasyczna sztuka Indii, to przede wszystkim słynne freski w pieczarach Ajanty o tematyce mitologicznej i religijnej, to 900 lat ściennego malowidła Hindusów — od I wieku p. n. e. (Ajanta) aż do VIII wieku n. e. Klasyczna rzeźba hinduska osiągnęła swój szczyt w X wieku. Najwybitniejszymi okazami jej są postacie bóstw odlane w brązie.

Osobne miejsce zajmuje klasyczna miniatura hinduska. 41 miniatur ukazanych na tej wystawie reprezentuje trzy szkoły: radżputańską — której tematyka obraca się wokół motywów miłosnych; mogulską — pozostającą pod perskimi wpływami (XVI i XIX w.), oraz północno-indyjską.

Nowoczesna sztuka hinduska poczęła kształtować się w XIX w. pod przemożnymi wpływami sztuki angielskiej z epoki królowej Wiktorii. Nastąpił w tym czasie zastój — a nawet, jak niektórzy twierdzą, regres — malarstwa hinduskiego, oderwanego od tradycji i związanego z obcymi, narzuconymi mu prądami. Tej pozbawionej wyrazu sztuce przeciwstawiła się szkoła bengalska, której twórcy usiłowali nawiązać do świetnych wzorów przeszłości. Zaciążyło na niej jednak to, że przywiązanie do tradycji narodowych wzięło górę nad poczuciem prawdziwej sztuki i piękna, przez co stała się ona jedynie naśladowczynią dawnych świetnych wzorów. Jednym z jej reprezentantów był Rabindra Nath Tagore — znany u nas ze swoich utworów literackich — oraz jego uczniowie.

Prawdziwą chlubą szkoły bengalskiej była zmarła w kwiecie wieku malarka hinduska, Amrita Sher-Gil, obdarzona niezwykłym talentem. Tworząc w okresie dominacji angielskiej okresu wiktoriańskiego, nie ulegała ani wpływom zagranicznym, ani też tamtejszemu tradycjonalizmowi, dając owiane świeżością własnego spojrzenia obrazy. W Indiach uważa się powszechnie, że wartość artystyczna szkoły bengalskiej urosła dopiero z chwilą pojawienia się obrazów Amrity. Ona to, jak twierdzą tamtejsi krytycy, ukazała nowe drogi współczesnej sztuce malarskiej Indii, polegające na syntezie tradycji z poszukiwaniem nowych form. Od Amrity zaczyna się zupełnie nowy okres malarstwa hinduskiego.

Jego reprezentanci uprawiają najrozmaitsze kierunki, od realizmu po całkowity abstrakcjonizm. Tradycja w najbardziej niespodziewany sposób łączy się z nowymi poszukiwaniami; linie i barwy twórcze nawiązujące do klasycznego malarstwa hinduskiego oraz do sztuki Chin, Japonii i Francji. Nowe malarstwo francuskie, postimpresjonistyczne, zaważyło najsilniej na twórczości współczesnych plastyków hinduskich, dają oni w swych obrazach przedziwną syntezę zachodnio-europejskiej faktury malarskiej z realiami Indii: swoistą kompozycją obrazu i zaskakującym zestawieniem barw (np. brąz z czerwienią i brąz z bielą).

Wśród stu sześćdziesięciu wystawionych obrazów i rzeźb sztuki klasycznej i współczesnej, ta ostatnia budzi zrozumiałe u nas szczególne zainteresowanie, zwłaszcza obecnie w okresie żywych dyskusji o nowoczesności sztuki.

Oglądając obrazy współczesnych malarzy hinduskich ma się przed sobą jak gdyby przegląd różnego rodzaju szkół i kierunków nowoczesnego malarstwa. Zachwyca nas światło przesączające się przez całą gamę zgniłej zieleni mrocznego wąwozu w „Ludziach ze wzgórz" Amrity Sher, podziwiamy niespodziewane zestawienie barw w „Czerwonym sari" Santosha, zaskakuje nas linearna kompozycja „Krajobrazu zimowego" Rankinkera, jednego z najbardziej abstrakcyjnych malowideł współczesnej sztuki hinduskiej.

Po obejrzeniu niepokojącego, tętniącego gorącymi barwami i przedziwnym układem linii nowego malarstwa Indii, prawdziwie wypoczywa się wśród starych znajomych: klasycznej sztuki hinduskiej; pośród tych subtelnych miniatur, znanych bywalcom poprzednich wystaw, pośród wspaniałych rzeźb, przenoszących w zupełnie inny wymiar geograficzny i historyczny,

Portret Abul Hasana
Miniatura z XVII wieku

przede wszystkim zaś pośród nieśmiertelnych fresków Ajanty. Po raz pierwszy ujrzeliśmy w całej krasie, odtworzone w naturalnej wielkości kopiach, oddających wiernie koloryt tych malowideł ściennych, utrwalonych na skale dwadzieścia wieków temu przez nieznanych mistrzów Indii — dzieło, jakiemu niewiele mamy równych na świecie.

A. CZERMIŃSKI

Posąg bogini Natesz
(X—XI wiek)

Przesłanie:

W tym jest pamięć o tobie, artysto,
coś zamyślił nieulękłe miasto
i o tobie, co przed laty trzystu
życie dałeś kościołom i basztom.
Tu wasz oddech zachowany w murach
i trud każdy z waszej krwi i kości
dźwiga dzień mój, by architektura
rosła z nowej i dawnej miłości.

JERZY HORDYŃSKI

Jan Wiktor znany literat, poseł na Sejm PRL jest autorem wielu ciekawych książek wielokrotnie wznawianych przez wydawnictwa. Napisał on m. in. „Przez łzy", „Wierzby nad Sekwaną", „Orka na ugorze", „Popiež i buntownik", „Wyznanie heretyka" i wiele innych. Jego „Orka na ugorze" wyszła w jedenastu wydaniach, a „Wierzby nad Sekwaną" w sześciu.

Obecnie Jan Wiktor, który ma za sobą przeszło 40 lat pracy literackiej, pisze nową książkę pt. „Płonące wzgórza".

Potomnym ku przestrodze...
...czyli jak nie należy budować

W pięknym i okazałym Domu Kultury WSK w Rzeszowie, który kosztował miliony złotych jest tylko olbrzymi, bardzo ładny hall, mała sala teatralna (łącznie z balkonem około 470 miejsc) i niezmiernie mała scena, (bez magazynu na dekoracje), biblioteka, świetlica i kilka małych pokoiczków na biura. Robotnicy WSK twierdzą, że Dom Kultury projektował inżynier bez głowy. Nie mam zamiaru ich przekonywać, że jest inaczej. Byłoby to nieuczciwe.

Dom Kultury WSK jest pomyślany jako piękna „bomboniera" do której może wejść mało i tylko dwa gatunki cukierków. Jak zaznaczyłam oprócz hallu, sali teatralnej, biblioteki, świetlicy i małych pokoików biurowych nie ma tam na nic więcej pomieszczenia. Brak koniecznych pomieszczeń na czytelnię, salę pingpongową, garderobę, magazyn na dekoracje, salę gier i zabaw, salę sportową a nawet basen, który też jest konieczny, jeżeli już budujemy nowoczesny i reprezentacyjny — jak to szumnie nazywają — dom kultury. Jeżeli budowano scenę i umieszczono na niej 19 dźwigów to inż. Polak, który ten dom projektował wyobrażał sobie, że dekoracje będzie się budowało na scenie a wtedy spełni ona rolę stolarni (brak stolarni) i nie trzeba będzie wnosić dekoracji. Po wąziutkim wejściu schodami na scenę (na których o dziwo do tej pory aktorzy nóg nie połamali) nie można w ogóle wnieść dekoracji.

Stolarnia i magazyn na stroje znajdują się w tej chwili z braku miejsca w piwnicy. Przy wnoszeniu dekoracji na scenę obija się sztukaterie. Inż. Polak, jak mi opowiadano, gdy wytykano mu braki tłumaczył się tym, że chciał, aby ten Dom Kultury wyglądał ładnie zewnętrznie. Dlatego też na tylnej ścianie sceny umieszczono dwa duże okna, a podłoga w kierunku okien obniżała się raptownie mniej więcej o 1,5 m. To było o tyle niewygodne, że aktor w ferworze gry na scenie mógł się momentalnie znaleźć o 1,5 m niżej, co nie obyłoby się bez bolesnych potłuczeń. W tej chwili ten błąd naprawiono, scenę wyrównano, okna znajdują się równo z podłogą. Jest to o tyle niebezpieczne, że aktor jeżeli, przypuśćmy, ktoś otworzy okno może spaść nie 1,5 m w dół, ale „nieco" niżej tzn. z pierwszego piętra. Zapewniano mnie wprawdzie, że okna te są zamknięte na „wieczność". Poza tym nad sceną z jednej i z drugiej strony umieszczono stryszki, które spełniają zasadnicze zadanie, zwłaszcza w zimie — wentylatorów i grożą zamarznięciem aktora w ogóle, biorąc pod uwagę słabe ogrzewanie i regulację ciepła przez specjalną aparaturę (rury zamurowane są w ścianach) nad działaniem której nikt do tej pory zorientować się nie zdołał.

Na tak skandaliczne braki przy projektowaniu Domu Kultury WSK w Rzeszowie nikt nie zwrócił uwagi. Powinno się pociągać do odpowiedzialności inżynierów za skandaliczne brakoróbstwo, za wyrzucanie pieniędzy w błoto. Dom Kultury WSK w Rzeszowie pod względem użytkowym przedstawia bardzo małą wartość.

A teraz od strony młodzieży. Młodzież przychodząca do Domu Kultury chce nie tylko ćwiczyć w zespołach i czytać czasopisma, ale chce tam zagrać w ping-ponga, w siatkówkę, uczyć się pływać, dyskutować na różnego rodzaju tematy, słuchać radia a nawet potańczyć. To wszystko winna znaleźć w Domu Kultury. Nie można rozkazywać, aby ten czy inny młodzieniec w tej chwili grał w siatkówkę, skoro ma ochotę właśnie zagrać w szachy. Wybór należy do niego.

Opowiadał mi pewien młody człowiek, że przez kilka tygodni namawiano go w pewnym zakładzie pracy, aby koniecznie zapisał się do zespołu dramatycznego, bowiem ma ku temu wszelkie warunki. Pod naporem przekonywających go osób uległ, czuł się tam jednak źle, a teraz tak znienawidził zespoły dramatyczne i w ogóle Dom Kultury, że nigdy do niego nie zachodzi. Nie tedy droga. Młodzież wybierze sobie sama według zainteresowań odpowiednie rozrywki kulturalne, które winna znaleźć w Domu Kultury. Przy projektowaniu Domu Kultury zainteresowania młodzieży należy brać pod uwagę. A wtedy nie trzeba będzie nikogo namawiać do przyjścia.

S.D.

Międzynarodowe konkursy rysunków dziecięcych

W związku z corocznym konkursem rysunków dziecięcych w Indiach, wystawą rysunków dziecięcych organizowaną przez Newark Museum w USA z okazji Dnia Narodów Zjednoczonych oraz wystawami rysunków dziecięcych we Francji i na Trinidad, Ministerstwo Oświaty prosi o zgłaszanie prac, wykonanych przez dzieci w wieku do 16 lat, bezpośrednio na adres Ministerstwa Oświaty, Warszawa, Al. I Armii Wojska Polskiego, pokój 136 a, w terminie do dnia 20. IX. 1956 r. Tematyka i technika wykonania prac dowolna (oprócz ołówka). Wszystkie rysunki winny być na odwrocie czytelnie podpisane imieniem i nazwiskiem dziecka, z wymienieniem płci dziecka oraz dokładnej daty urodzenia i adresu szkoły.

Równocześnie odbywa się II Międzynarodowy Konkurs Rysunków Dziecięcych w Indiach. Czasopismo „Schankar's Weekly" — New Delhi, Indie zaprasza polską młodzież szkolną do udziału w organizowanej w końcu br. Międzynarodowej Wystawie Rysunków Dziecięcych w Indiach.

W konkursie tym mogą brać udział dzieci urodzone po 31 grudnia 1940 r. Prace muszą być wykonane samodzielnie przez dzieci. Każdy uczestnik może zgłosić najwyżej 4 rysunki. Technika wykonania prac jest dowolna z wyjątkiem rysunków ołówkiem. Rozmiary prac nie mogą być mniejsze niż 20,5 cm × 28,5 cm.

Tematyka prac jest w zasadzie dowolna. Przewiduje się specjalne nagrody za opracowanie następujących tematów: autoportret — matka, ojciec, lub nauczyciel, sceny z życia szkoły lub domu, uroczystości rodzinne, tańce, festiwale itp.

Każda praca powinna na odwrotnej stronie zawierać wypisane drukowanymi literami — nazwisko i imię autora, datę urodzenia, dzień, miesiąc, rok i miejsce zamieszkania, adres, nazwę i adres szkoły lub placówki wychowania pozaszkolnego.

Wydział Oświaty Prez. WRN w porozumieniu z kier. sekcji pracy ręcznej i rysunku Woj. Ośrodka Dosk. Kadr Oświatowych ustala dla szkół i placówek termin 15 października 1956 r.

Prace należy nadsyłać przez szkoły do Wydziału Oświaty Prez. WRN w Rzeszowie, ul. Żeromskiego 1.

— KORESPONDENCJE — KORESPONDENCJE —

Sokołów — czy Kolbuszowa

Na temat kolbuszowskiego meblarstwa pisaliśmy już wiele. W muzeach można oglądać zabytki tej „koronkarskiej" wprost roboty.

Na temat pochodzenia tych mebli było już wiele publikacji. Przed kilkoma dniami miałem możność wysłuchania odczytu dr Kazimierza Skowrońskiego, który rzucił nowe światło na te sprawy. Tezy dr Skowrońskiego są tak ciekawe, że pozwolę sobie przedstawić je w skrócie.

Docent Kotula w kilku swoich artykułach stwierdził, że kolebką kolbuszowskiego meblarstwa jest nie Kolbuszowa, a Sokołów. Tezę tę ugruntował artykuł C. Błońskiej zamieszczony niegdyś w „Nowinach Rzeszowskich". Błońska posunęła jeszcze dalej twierdzenia docenta Kotuli, pisząc że stolarze kolbuszowscy zorganizowani w cechu, żyli z wyzysku czeladników. W sprawie pochodzenia postawiła jak to się mówi kropkę nad i stwierdzając, że kolebką mebli kolbuszowskich jest Sokołów.

Docent Kotula swoje twierdzenia opiera na fakcie, że Sokołów jako miasto powstał wcześniej (1562) od Kolbuszowej (1660). Produkcję mebli wiąże on z istnieniem cechu (Cech w Kolbuszowej powstał dopiero w 1837 r., a więc u schyłku meblarstwa kolbuszowskiego). Podstawą jego twierdzeń jest statut cechu stolarzy sokołowskich, w którym jest m. in. mowa, że meble muszą być „fladrowane". Słowo to oznacza według słownika Lindego i wypowiedzi obecnie żyjących epigonów meblarstwa — malowanie imitacji słojów drzewnych.

Jak stwierdza dr Skowroński ta technika (właściwa dla stolarzy sokołowskich) nie ma nic wspólnego z kolbuszowskim meblarstwem, a zwłaszcza z jego główną cechą — nakładaniem tj. układaniem na płaszczyźnie np. stolika nieraz z setek kawałków różnego gatunku drzew pięknych różnorodnych wzorów.

Wiemy wszyscy, że cechy XVII i XVIII wieku jako średniowieczne instytucje nie sprzyjały powstawaniu nowych metod produkcji, ich drobiazgowe i sztywne przepisy ograniczały swobodę mistrzów. Kolbuszowskie meble z różnorodnością swych wzorów — są zaprzeczeniem cechowej nomenklatury.

A więc tylko na wsi gdzie było wielu stolarzy chałupników (we wsi Kolbuszowa w 1581 r. było wg zapisków 24 chałupników stolarzy) magnaci mogli organizować produkcję systemem nakładztwa.

Budowa w połowie XVII wieku nowego pałacu w Kolbuszowej przez hetmana Stanisława Lubomirskiego (w 1616 r. nabył Rzemień i Kolbuszową, a w 1627 r. dopiero Łańcut) zrodziła zapotrzebowanie na meble wyrobione przez miejscowych artystów. A więc nie z cechem wiązać należy powstanie kolbuszowskiego meblarstwa.

Liczne zapiski, rachunki mówią, że miejscem zakupu mebli była właśnie Kolbuszowa. Równocześnie w księgach krakowskiego cechu stolarzy są zapiski o rumach wydawanych na walkę z kolbuszanami i ich wyrobami meblarskimi.

Nie mogę rzecz jasna przytoczyć tutaj wszystkich argumentów i dowodów zebranych przez dr Skowrońskiego na poparcie jego tez.

Dobrze byłoby by sam dr Skowroński zabrał głos. Moim zamiarem była tylko chęć zasygnalizowania tych faktów opinii czytelników. Czas sprostować nieścisłości na rzecz obiektywnej prawdy historycznej.

JÓZEF KIEŁB

Poważni, sztywni, czasami aż nazbyt służbowi, tym bardziej to nieraz peszy jeśli milicjant jest... przystojny. Takimi widzimy ich na ulicy, przy załatwianiu spraw służbowych, czasami przyjemnych, kiedy załatwiają końcowe formalności przy wyjazdach za granicę, nieraz przykrych, zwłaszcza kiedy coś przeskrobiemy. Zawsze utrzymują powagę na twarzy. A może mundur służbowy przeszkadza nam zauważyć że jednak często się uśmiechają? Słowem przyzwyczailiśmy się do tego, że schematyczna, ponura sylwetka milicjanta jako postać typowa przeszła do tradycji.

Ostatnio mieliśmy możność zobaczyć tych ludzi na scenie. Roztańczonych, rozśpiewanych bawiących się świetnie i bawiących nas.

Na wojewódzkich eliminacjach MO byliśmy pełni uznania dla tych ludzi. Dla ludzi którzy oprócz swoich spraw służbowych niejednokrotnie bardzo ciężkich, trudnych przywiązują dużą wagę do pracy kulturalnej. Sami ćwiczą w zespołach, wyjeżdżają z występami w teren a nawet prowadzą dzienniczki, w których widzowie nie tylko dziękują za występy, ale wpisują niejednokrotnie bardzo cenne uwagi, które członkowie zespołów biorą w swojej pracy do serca. Oklaskując „Jubileusz" Czechowa wystawiany przez zespół PK MO Przeworsk czy „Proces" Berwińskiej wystawiony przez zespół dramatyczny PK MO Sanok i inne zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że przedstawienia te są jeszcze niedoszlifowane, że trzeba nad sztukami jeszcze długo popracować (zespoły dramatyczne wypadły w eliminacjach nieco za słabo). Z eliminacji wynikało, że brak jest fachowych sił do kierowania zespołami, reżyserów z praktyką, którzy potrafiliby odpowiednio pokierować amatorami. To niewątpliwie wpłynęło na niski poziom zespołów dramatycznych. Niektóre przedstawienia np. „Niedźwiedź" Czechowa cechował nieuzasadniony pośpiech.

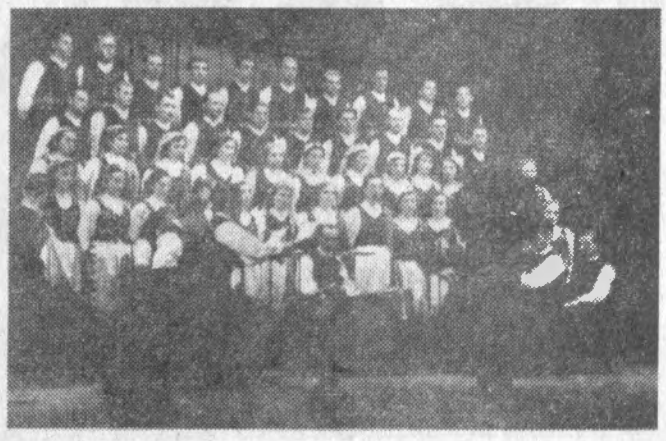

Zespół pieśni i tańca WK MO Rzeszów

Dała się zauważyć nieodpowiednia obsada ról np. kobiety w „Jubileuszu". Wszystkich męczyła trema. Równocześnie podziwialiśmy olbrzymi wysiłek ludzi, którzy starali się dać ze siebie wszystko, ludzi, których praca nie ogranicza się bardzo często do 8 godzin. Niektórzy z nich dojeżdżają po 38 km na próby zespołu z najodleglejszych od powiatu wsi (np. członkowie zespołu z Brzozowa), a później wyjeżdżają z występami do najodleglejszych wsi powiatu. Ćwiczą w malutkich świetlicach przy PK MO często do późnych godzin wieczornych.

Widzieliśmy na eliminacjach wojewódzkich zespoły taneczne, które zapoczątkowały wiązanki tańców rzeszowskich, brzozowskich, w pożyczonych wprawdzie z dużą trudnością strojach, (bowiem takie instytucje jak „Sanowag" niechętnie pożyczają kostiumy a nawet bardzo często w ogóle odmawiają), zespoły śpiewacze, największy zespół chóralny z Rzeszowa i zespoły muzyczne. Najwięcej zespołów przybyło z Jasła i Brzozowa. Cieszyły się one o wiele większym powodzeniem aniżeli dramatyczne. Zespół taneczny czy chóralny jest o wiele łatwiej wyćwiczyć. Widać było kierownictwo fachowe nad tymi zespołami.

Wystąpili również soliści i recytatorzy. Bardzo sympatyczna solistka Zofia Polak z PK MO z Jasła odśpiewała kilka piosenek. Bardzo miłym, silnym choć niewyrobionym głosem, zachwyciła salę. Burza oklasków i zajęcie pierwszego miejsca w eliminacjach to nagrody za jej duży wysiłek. Należy się spodziewać, że Zofia Polak przy dobrej opiece i pomocy, którą otrzymuje z PK MO Jasło jak i WK MO Rzeszów, mając bardzo dobre warunki głosowe wyrośnie na dobrą śpiewaczkę. To zresztą nie jedyny talent, który wyróżnił się w tegorocznych eliminacjach wojewódzkich MO.

Należy ich pochwalić chociażby dlatego, że z recytatorów wyrasta bardzo dobry materiał ludzki dla zespołów dramatycznych. Należy pochwalić organizatorów eliminacji, że w większej mierze aniżeli do tej pory zwrócili uwagę na recytacje. Zwrócenie dużej uwagi na słowo mówione pomaga w pracy w zespołach dramatycznych, pozwala pozbyć się błędów w dykcji.

W dużej, niezbyt przytulnej sali Domu Kultury przy ul. Langiewicza przez 2 dni trwały eliminacje. Dwa dni widownia oklaskiwała wszystkie zespoły bez wyjątku, dobre i słabsze: oklaskiwała za olbrzymi wysiłek ludzi i naprawdę solidną pracę. Nie wszyscy jednak byli szczęśliwcami. Jury konkursowe przyznało I miejsca zespołom najlepszym: tanecznym PK MO z Jasła i PK MO z Krosna, zespołowi muzycznemu z Gorlic, zespołowi pieśni i tańca z Rzeszowa oraz Zofii Polak z Jasła. Zespoły te wezmą udział w eliminacjach centralnych w Warszawie.

Należałoby życzyć dalszych sukcesów zespołom MO w następnych eliminacjach.

S. D.

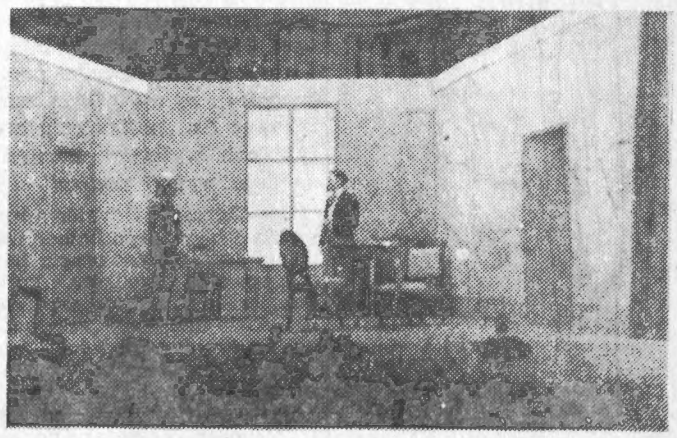

„Jubileusz" Czechowa — zespół dramatyczny PK MO z Przeworska.

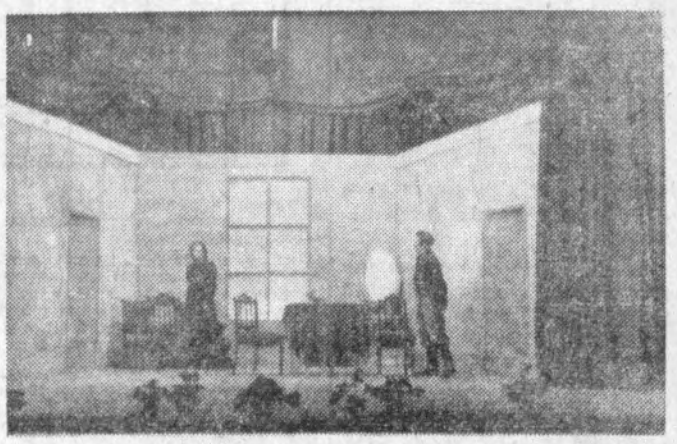

„Niedźwiedź" Czechowa — zespół dramatyczny PK MO z Jarosławia.

BAJKA o wygnanej KULTURZE

Krystyna ŚWIERCZEWSKA

...i mędrzec zubożał. Pisał książki, których nie kupowano, bo była w nich zawarta prawda. Prawda bolesna, gorzka przeciw ludziom. A ludzie bronili się przed nią. Mędrzec zubożał i stać się musiał cieniem własnego cienia, by żyć — tak pisał przed wiekiem filozof duszy ludzkiej, nie rozumiany Duńczyk o wielkim sercu — Hans Christian Andersen.

A tu macie bajkę współczesną. Zawarta w niej też prawda, ludzka, bolesna. Była zabita deskami prowincja. Miała jedno tylko „wielkie" miasto, z awansu społecznego. Miasto to miało stać się ośrodkiem, promieniującym swą kulturą na całe połacie ziemi, nazwanej od jego nazwy. W mieście tym był jeden teatr, trzy kina, dwa domy kultury i .... brak, ciągły brak ludzi, którzy potrafiliby nadać mu intelektualne piętno, ludzi młodych, pełnych pasji, z pięknymi ideami. I pewnego dnia do miasta przybyli tacy ludzie. Nieśli mu w darze wszystko, co zdobyli w życiu — swoją pasję twórczą, swój zapał do pracy. Miasto zdumiało się. Po co? Kto to? Czy potrzebny? Czy wreszcie źle nam się żyło do tej pory? Miasto okrzepło w uporze, zamknęło drzwi nowowybudowanych mieszkań i uśmiechnęło się zadowolone. Jeśli miasto może się uśmiechać...

A co zrobili ludzie? Nie było ich wielu, na razie 14, ale zaczęli walczyć. Walka była nieubłagana, choć nie z orężem w ręku. Poszli do innych ludzi, prostych, nie uczonych, takich, co nie mieszkali w mieście, które dało nazwę całej ziemi. Tam przyjęto ich dobrze. Z entuzjazmem zaczęto o nich mówić, że potrzebni. Jeździli po całej ziemi, docierali w każdy kąt z żywym słowem, które ożywiało martwy obraz. Taką wybrali drogę walki. Zawiodła jednak, choć nie tak zupełnie, jak przypuszczali. Do miasta docierały wieści o ich wędrówkach, niektórzy w mieście zaczęli rozumieć. A potem zaczęły pisać gazety. Bojowo, odważnie, po prostu nieraz nazywały miasto, które kiedyś uśmiechnęło się. I miasto zainteresowało się, nie z uśmiechem już, ale poważnie. Pomyślało: może warto pomóc młodości; może warto wspierać tę cząstkę kultury, która przebywała na wygnaniu? I powoli uchyliło bram i... znowu uśmiechnęło się, tym razem wstydliwie i przyjaźnie. Tak uśmiechać może się każde miasto....

Koniec bajki. Nie zapytam was czy była ładna, czy brzydka. Jedno stwierdzę: była gorzka, bolesna, ale ludzka. Ludzie często popełniają omyłki, popełnili je więc ludzie z miasta i ludzie z grupy. Czas je już jednak wyjaśnić pozwólcie, że będę rozjemcą sporu.

Jeszcze w październiku roku ubiegłego młodzi plastycy z Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie wspólnie z rzeszowskim Związkiem Plastyków zorganizowali jesienną wystawę pod nazwą: „Piękno Ziemi Rzeszowskiej". Wtedy też powstał projekt wśród 14-ki, by po uzyskaniu absolutorium przenieść się na stałe do Rzeszowa. Czynniki miarodajne zachęciły ich do tego, obiecując pomoc tak finansową jak i mieszkaniową. Młodzi przyjechali, pełni zapału, chowając w zanadrzu swoje hasła: pracować twórczo i popularyzować wiedzę plastyczną, szczerze mówiąc mało znana na szerszemu ogółowi. Niewątpliwie byli potrzebni na terenie Rzeszowa, miasta, które do dziś uskarża się na brak młodej, twórczej inteligencji. Rzeszów jednak potraktował ich po macoszemu, już na wstępie odmawiając przydziału mieszkań i pracowni. Wojewódzka Rada Narodowa zbagatelizowała sprawę młodych zapaleńców, I wtedy oni zaczęli błądzić. Zagrzebali się w przeróżnych papierkach, interwencjach wysyłanych do władz centralnych. Ukazywały się artykuły w „Przeglądzie Kulturalnym", w „Po prostu", w „Trybunie Ludu". Wysłali petycję do Ministerstwa Kultury i Sztuki, w której żądali pieniędzy na umeblowanie mieszkań, bieliznę itd. To było mało poważne, ale... istnieje przecież znane powiedzenie: żądaj wiele a coś dostaniesz. Powody do żądania mieszkań i pracowni są oczywiste, bo Grupa 14 zasłużyła na nie uczciwą pracą. Zorganizowane w krótkim okresie czasu 16 wystaw objazdowych, które dotarły do zapadłych krańców naszego województwa, zapoznając około 10 tys. ludzi z zagadnieniami sztuki plastycznej — jest wielkim osiągnięciem, którym nie może poszczycić się do tej pory żadna z grup na terenie Polski. Ta uczciwa praca i wielki zapał przełamały w końcu bariery nieufności.

Przed tygodniem odbyło się zebranie przy udziale członków grupy, tow. Sobko i przedstawiciela KW PZPR, tow. Ryby. Zebranie wyjaśniło wiele spraw, które przybrały ostatnio dość nieprzyjemny charakter sporów. Grupa 14 przestała czuć się osamotniona. Był ktoś, kto wreszcie nimi się zajął i realnie pomógł. Szczególnie życzliwe i rozsądne rozwiązanie dał tow. Ryba, przyrzekając pomoc w sprawach bytowych.

A więc nareszcie miasto zajęło się sprawami kultury. Pozostaje tylko jedno życzenie, aby zawsze brali te sprawy w swe ręce ludzie, którzy doceniają w pełni znaczenie nauki i sztuki w naszym życiu, by nie zajmowali się nimi ludzie, zgoła nie zorientowani lub nie nadający się do roli czynnika decydującego w kwestiach tak delikatnych.

Pisząc o plastykach, bynajmniej nie mam zamiaru zapominać o reszcie młodej inteligencji, żyjącej na terenie naszego województwa. Dziś po VII Plenum, którego dewizą była wiara w człowieka, jak najszerzej rozciągający się humanitaryzm, musimy wreszcie zacząć dostrzegać wszystkich ludzi, z ich rzeczywistymi troskami i zmaganiami, w niejednokrotnie ciężkim życiu. Problem Grupy 14, stwarza przecież jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Wielu z młodych, którzy ukończyli wyższe studia trzyma się kurczowo miast uniwersyteckich, borykając się z wieloma trudnościami mieszkaniowymi i zatrudnienia. Boją się panicznie prowincji, która, jak głosi fama wpływa hamująco na rozwój intelektualny, odstrasza brakiem kultury. Obraz małych miasteczek, a czasem i miast wojewódzkich takich jak Zielona Góra, Koszalin czy... Rzeszów jest także często jeszcze zesłaniem dla studenta, który przyjmuje je jako przysłowiowy „dopust boży". Powoli jednak zaczyna przełamywać się niechęć do prowincji, ale tylko wtedy, kiedy „zesłanie" jest okraszone ofertą pracy w swoim zawodzie i mieszkania. Młodzież, ta najodważniejsza, a co za tym idzie, najbardziej zahartowana, opuszcza wielkie ośrodki i przyjeżdża. Nie przyjmujmy jej tak, jak to miało kiedyś miejsce z Grupą 14. Nie stwarzajmy precedensu, że na prowincji nie ma pracy i mieszkań, wbrew rzeczywistości, która mówi, a nawet głośno krzyczy o czym innym.

Bajkę o mędrcu i mieście dedykuję tym, którzy nie potrzebują „kultury". Zaś treść tego artykułu podsuwam pod rozwagę ludziom, którzy w pełni doceniają jej ogromne znaczenie w życiu całego społeczeństwa.

FILM O ZABAWNEJ SZAJCE

Kryminalna komedia nieporozumień, bez pięknych kobiet (o przepraszam, była Chiquita przez 30 sekund i pani Chalk, stara amatorka mrożących krew w żyłach historii kryminalnych — ale to się przecież nie liczy) bez jednego nawet trupa, ale za to z dwoma szalenie przyjemnymi zawodowcami — złodziejami — oto całość filmu Charles Crichton'a, zrealizowanego na kontynencie ponurych flegmatyków, ludzi rozmiłowanych w sadyzmie, jak próbuje sugerować Cat w „Przeglądzie Kulturalnym".

Ciągle jeszcze na naszych ekranach daje się dotkliwie odczuć brak zabawnych (sic!) komedii realizowanych li tylko dla rozrywki. Jakże często słyszy się wołanie widza: „Chcemy się śmiać, bawić, odetchnąć wesołością bohatera filmowego". Toteż kiedy mamy możność obejrzeć komiczną historyjkę w rodzaju „Szajki z Lawendowego Wzgórza" przymykamy pobłażliwie oczy na błędy, oklaskując entuzjastycznie sam pomysł. A pomysł to dość niezwykły, tak jak niezwykłe jego ujęcie.

Starszy pan, znany jako nie dołęga życiowa, przeciętny urzędniczyna, jeden z setek tysięcy żyjących w starej Anglii zaharowany, przesadnie ostrożny i traktujący bardzo poważnie swój zawód konwojenta furgonetki, przewożącej miliony z odlewni do banku, przy tym człowiek o nieskazitelnej uczciwości i sumienności — jest takim tylko dlatego, by właśnie utwierdzić wszystkich przełożonych w ich mniemaniu, że do innej pracy nie nadaje się, a w swoim zawodzie jest niezastąpiony. Zaś w głębi ducha ten skromny czterdziestolatek pieści marzenie o innym życiu, życiu wygodnym, beztroskim, które zdobyć można jedynie przy pomocy bankowych sztab złota. Wychodzi przy tym z założenia, iż nie szkoda nawet dwóch dziesiatków lat, by wreszcie stać się milionerem, mieć pozycję w towarzystwie, pałace, stajnie wyścigowe i u boku na dobną Chiquitę. Dla takich oczu warto zdobywać i tracić miliony.

Na zdjęciu: Scena z filmu „Szajka z Lawendowego Wzgórza"

Na tym wspaniałym zresztą pomyśle, osnuta jest cała komedia nieporozumień, powolna metamorfoza ludzi skądinąd uczciwych w zwykłych rzezimieszków. Kapitalny Stanley Holloway jako pan Holland stworzył pocieszną postać przyczajonego i cierpliwego amatora państwowego złota. Swój dwudziestoletni, bez awansowy staż w Banku Anglii powetuje sobie jednorocznym pobytem w Rio de Janeiro. Po roku odejdzie złączony żelazem kajdan z policjantem Scotland Yardu, mimo wszystko zadowolony, z przekonaniem, że warto było zaryzykować dla „postawienia brazylijskich wyścigów konnych na dużo wyższy poziom".

Film Clarke'a i Crichton'a rozwesela i bawi. Jego humor wybucha czasem przy użyciu bardzo prostych środków. Poza tym, moim zdaniem, zawiera doskonałe momenty satyryczne, skierowane przeciw „sprawności" Scotland Yardu. Momenty te szczególnie jaskrawo uwidaczniają się w zestawie z nieporadnością złodziejską spółki Holland i Pendlebury. Tuż pod okiem znanej w całym świecie policji śledczej, Holland przetapia złoto, wywozi do Francji, sam wyjeżdża z kraju, a jednocześnie pozostawia za sobą opinię człowieka bohatera, bez cienia podejrzenia. Satyra jednak jest niepełna i tu może zaznacza się asekuranctwo i pewna cecha narodowa: nieośmieszania się. Bowiem ręka wszechwładnej policji dosięgnie złodzieja aż na drugiej półkuli, w Brazylii. I dlatego zaskakuje nas koniec kariery człowieka, który marzył o milionach.

„Szajka z Lawendowego Wzgórza" oddycha humorem i co ważniejsze raczy nas olbrzymimi porcjami dynamizmu.

Nieocenione są sceny zbiegania z najwyższej kondygnacji wieży Eifla. Rozwichrzone włosy pędzącego Hollanda i Pendlebury, dziki bieg dookoła jednej stalowej kolumny, wspaniała panorama Paryża i... meloników swobodnie żeglujących w powietrzu, i wreszcie kilkakrotne „odkręcanie się" w przeciwną stronę bohaterów, którzy przemierzyli w przeciągu kilkunastu minut 360 m drogi z samego czubka wieży — to chyba duże osiągnięcie filmu.

Poza tym Clarke w swoim scenariuszu dotknął, może nawet przypadkiem, dość ważnego zagadnienia: wpływu literatury kryminalnej na kształtowanie się pewnych cech psychiki ludzkiej. Precyzyjnie pomyślana robota szajki, co do milimetra obliczony plan, biorą chyba bezpośrednio początek z niewinnie wyglądającej książeczki, którą czyta wieczorami pani Chalk wespół ze swym cichym lokatorem. Niezwykle pomyślane zbrodnie, trupy, które zmartwychwstają, genialni złodzieja szkowie i niedoskonałość metod policyjnych — oto treść tego budującego dzieła, które wyda owoce — niecodzienną kradzież w tak potężnej instytucji, jaką jest Bank Angielski.

Świetni komicy Alec Guinness i Stanley Holloway tworzą arcyzabawną parę wydobywając ze swych ról maksimum komizmu.

K. S.

POWRÓT STAREGO PRZYJACIELA

Szkoło! Szkoło!
Gdy cię wspominam,
Tęsknota w serce się wgryza,
Oczy mam pełne łez...

(Tuwim)

Kraj lat dziecinnych. Któż myśli o nim bez rozrzewnienia? To już leży w naturze ludzkiej. Czy to dzięki zbawiennej dla naszego systemu nerwowego zdolności zapominania tego, co przykre w naszej przeszłości, czy dlatego, że młodość opromienia czasy najbardziej nawet ponure, dość, że zawsze chętnie powracamy myślą do tego kraju.

Tym się tłumaczy np. poczytność stale wznawianych w Anglii powieści „dziecinnych" Dickensa, Kiplinga („Stalky i Spółka") czy Karoliny Brontë. Dorobek naszej literatury w tej dziedzinie nie jest uboższy, tylko że z tym bogactwem kryjemy się zazdrośnie przed czytelnikiem. „Szkolne czasy Jana Deboroga" Żyrokomii, „Wspomnienia niebieskiego mundurka" Gomulickiego, „Syzyfowe prace" Żeromskiego, niektóre obrazki Konopnickiej, „Grzechy dzieciństwa" Prusa, „Bezgrzeszne lata" Makuszyńskiego, twórczość Janusza Korczaka, Benedykta Hertza... Z tych i innych pozycji dałoby się wykroić zgrabną antologię, która na pewno nie zalegałaby składów. Czy nie należałoby o tym pomyśleć również ze względu na wartość poznawczą takiej antologii?

Takie refleksje nasuwają się na widok starego przyjaciela. Nareszcie wznowiono „Wspomnienia niebieskiego mundurka" *), książkę, którą zaczytywało się kilka pokoleń. A i nowa generacja chłonąć będzie opowieści: o stolarczyku, który sypiał w trumnie, o nierozgarniętym synku hreczkosieja, który „zabatuł" własnego nazwiska, o wpuszczaniu carabasz czy do klasy w celu wymigania się od trudnej lekcji i wielu innych psotach i figlach sztubackich, z których tyle utrzymało się do dziś w żelaznym uczniowskim repertuarze. W tej bezpretensjonalnej gawędzie daremnie szukalibyśmy głębokiej analizy historycznej czy też ostrej widzenia społecznego, cechującego np. „Syzyfowe prace". Niemniej jednak książka ta, napisana w r. 1905, w okresie walki o polską szkołę, rzuca światło na sytuację polskiego szkolnictwa oraz na politykę kulturalną caratu wobec Polski w okresie poprzedzającym wybuch powstania styczniowego.

W powiatach — szkoły 4-klasowe, z programem nauczania przeznaczonym dla „warstw niższych", dla których dalsze studia są nieosiągalnym marzeniem. Z carską taktyką ogłupiania uciemiężonego narodu zgodny jest bezduszny program szkolenia, kładący nacisk na wykuwanie gramatyki języków martwych, a w nauczaniu literatury polskiej nie idący poza XVIII-wiecznych pseudoklasyków. Metody wychowawcze, polegające na ciągłym szpiclowaniu i terroryzowaniu uczniów, wdrażaniu do ślepej dyscypliny, stosowaniu kar cielesnych. W latach pięćdziesiątych, po przegranej przez carat wojnie krymskiej, system ten ulegnie złagodzeniu, aby z chwilą upadku powstania styczniowego, za terrorystycznych rządów gubernatora Kurki i kuratora Apuchtina, ustąpić miejsca kursowi na bezwzględny ucisk.

Z tym tłem harmonizują sylwetki profesorów — bądź gorliwych służbistów zaprzedańców caratowi, bądź też cierpiętników z rezygnacją chodzących w kieracie. Wyjątkową postacią jest nauczyciel rosyjskiego. Nie znamy jego przeszłości. Może to były dekabrysta, za swe dążenia wolnościowe zesłany w obcą głusz i tu, w zatęchłej atmosferze prowincjonalnej mieściny, ratujący się „kuracją mleczną", czyli — topiący swą rozpacz w wódce. Wzruszająco brzmią jego gorzkie słowa, skierowane do uczniów:

— Byłby ja Jastrebski albo Jastrębowski, wy by mnie lubili, ale że moja familia ruska, tak ja dla was cóż — proklatyj moskal, kacap...

Dominuje jednak w książce nastrój naiwnej pogody. Taki właśnie naiwnie pogodny jest przecież okres życia jej bohaterów.

Ale oto zrzucili szkolne mundurki i z dyplomami w kieszeniach wchodzą w życie. Po „dzieciństwie sielskim, anielskim" jaka będzie ich młodość górna, jakim — ich wiek męski? W tym momencie, niemal w ostatnim zdaniu książki wkracza na jej karty nowa postać. Gdy „panowie studenty" na pożegnalnym spotkaniu w ogrodzie śpiewają wesołą pieśń filarecką, przysłuchuje im się biedny ogrodniczek — analfabeta. „I po raz pierwszy w życiu spogląda ze smutkiem na swe bose stopy i ręce czarne od ziemi inspektowej".

Ten poważny, dojrzały akcent społeczny kończy piękną książkę Gomulickiego.

D. Tryl

*) Wiktor Gomulicki. Wspomnienia niebieskiego mundurka. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1956 r.

POWRÓT Z KOLONII

— Ciężkie czasy!

— Pitrusiński, czy ty zawsze będziesz robił tyle błędów?
— Nie, coraz mniej. W „Tatka" miałem już tylko trzy.

— Czy w tym roku znowu masz zamiar zostać w drugiej klasie?
— A pan profesor?

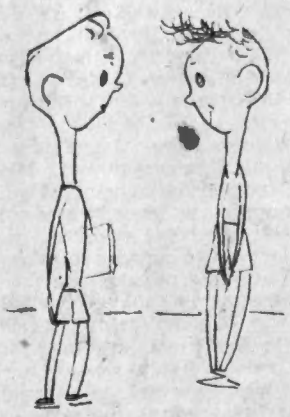

— Kolega do jakiej klasy?
— Do tej samej.

— No co, byłeś dzisiaj pytany w szkole?
— Owszem pytał mnie profesor.
— A o co?
— Dlaczego jestem taki wyjątkowy tuman?

„Wstawiamy się"

Zarząd Okręgu Związku Zawodowego Górników w Krośnie postanowił zerwać z przestarzałą praktyką indywidualnego „wstawiania się" pracowników kultury. O tej historycznej decyzji dowiadujemy się z pisemka wystosowanego do kierowników świetlic podległych Zarządowi Okręgu w Krośnie.

W pisemku tym, zaopatrzonym aż w cztery pieczątki i podpisy członka prezydjum Kazimierza Syrka i instruktora KO Jana Wojnara czytamy między innymi:

„Referat KO ZO Zw. Zaw. Górników w Krośnie zawiada

mią..., że zostanie przeprowadzona weryfikacja kadr świetlicowych w dniu... 1956 r. o godz. 10, na której winni się wstawić z Waszego terenu..."

„Za wstawienie się wymienionych Tow. (kierowników świetlic dop. red.) przed Komisją Weryfikacyjną w określonym terminie odpowiedzialne są Rady Zakładowe".

No cóż — takie pokazowe „wstawianie się" pod czujnym okiem wysokiej komisji może być nawet bardzo interesujące. Dosyć tego pokątnego „wstawiania się" obywatele kierownicy... Jesteśmy na etapie kiedy „te rzeczy" trzeba publicznie zademonstrować. No, a jeśli co wrażliwszy kierownik świetlicy spróbuje „nie wstawić się", to oczywiście nie zostanie zweryfikowany. Trzeba dbać o jakość kadr kulturalnych.

Takie epokowe przemiany proponuje skromny Zarząd Okręgu Zw. Zawodowego Górników w Krośnie i to bez szumnej reklamy, spokojnie, we własnym zakresie. A swoją drogą taki skromniutki Zarząd, a w ładnym świetle „się wstawia".

A. Boruta

● Nie trudno zgadnąć ● Nie trudno zgadnąć

Układamy konikówkę

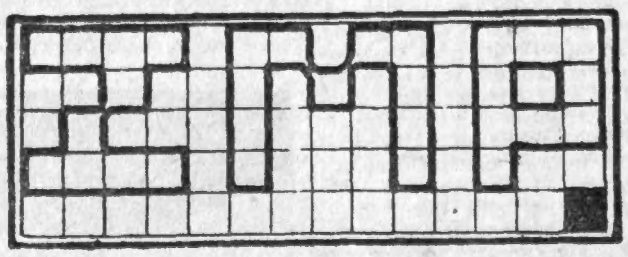

„Naprzód młodzieży świata
Nas braterski połączył dziś marsz.
Groźne przeminą lata..."

Litery powyższego tekstu wpisać ruchem skoczka szachowego tak, by w kwadracikach rysunku tworzących stylizowane litery znalazło się: 5 a, c, d, 3 e, ł, m, 4 n, 2 p, 3 r, 2 s, ś, t, 2 y, 3 z.

Łamigłówka

Z czterech przyjaciółek o imionach Frania, Jania, Hania i Mania, dwie są rówieśnicami. Która jest rówieśnicą Jani, jeżeli Frania byłaby starsza od Jani, gdyby nie była młodsza od Mani, a Hania byłaby młodsza od Jani, gdyby nie była starsza od Mani?

(Pomysł zaczerpnięto z literatury rozrywkowej).

Za trafne rozwiązanie tych zagadek przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody (bony książkowe). Adres redakcji prosimy uzupełnić dopiskiem „Rozrywki umysłowe"

Rozwiązanie wirówki z nr 26 (322)

1. kontrast, 2. nikotyna, 3. karabela, 4. kubatura, 5. renesans, 6. talizman, 7. Bornholm, 8. ignorant, 9. szarotka, 10. Zelandia, 11. horyzont, 12. rykoszet, 13. obiektyw, 14. [illegible]ufery, 15. alegoria, 16. szympans, 17. korektor, 18. fragment, 19. ornament, 20. prognoza, 21. Konarski, 22. Hannibal, 23. Mazowsze, 24. nekrolog, 25. retoryka.

Nagrody wylosowali:

I. Kazimierz Skarbowski z Jarosławia, II. Janina Dik z Krosna, III. Stanisław Pilszak z Brzozowa.

Nagrodę autorską otrzymuje Jacek Peczosa z Krosna.

Rozwiązanie zagadek z nr 27 (323)

Krzyżówka — poziomo: 3 — gaz, 5 — skorupiak, 12 — materializm, 13. Ob, 14 zr, 16. rolka, 17. trefl, 19. bera, 20 gama, 21. zrzut, 23. mętra, 24. tu, 25. ma, 26. ratyfikacja, 27. Krasnodar, 31. sto, Pionowo: 1. tabu, 3. do, 4. pi, 6. katalizator, 7. rurka, 8. Piast, 9. alimentacja, 10. ambrażura, 11. amalgamat, 15. eer, 18 ćma, 22. tyfus, 23. mokro, 28. as, 29. nuta, 30. de.

Ile było goździków — 720 (60 wiązanek po 6 kwiatów i 90 po 4).

Nagrody wylosowali:

I. Halina Smolińska z Łańcuta, II. Ania Ćwiżewicz z Rzeszowa, III. Barbara Niewołkiewicz z Brzozowa.